Tom IV. Nr. 1.

1. Stycznia 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Czyste sumienie.

Mroźny wiater przeciągał polami i podnosił setne chmury śniegu, a tak niemi do równości pozamiatał wszystko, że mało gdzie wystawały koniuszki jałowcowych krzaków. Obrośnięty parów zaprószyło także, i ledwie, że widzieć można kilka ubogich zagród, i dzwonicę od kościółka na drugim końcu parowu.

Nad zamarzłym potokiem stoją niedaleko od siebie dwie chałupiny, a to już co najgorsze, bo bez mała na pół rozwalone. W jednej mieszka stary Walenty, a w drugiej jeszcze starszy Józef. Obydwaj sami, bez dzieci i bez żadnych krewnych.

Była to prawie noc przed Nowym rokiem.

Walenty siedział wedle komina, sam jeden jak palec w chałupie. Trochę mokrego chróstu ze starego płota jarzyło się w kominie, a z dworca słychać było, jak wiater poszycie z dachu odrywa.

Zimno było i smutno: Walenty patrzał się w ogień ponuro, a smętne myśli chodziły mu po głowie:

— Jutro nadchodzi znowu rok nowy, a pan Bóg trzyma mię ciągle na tym świecie. Boże mój, Boże, kiedyż koniec tej

karze! Będzie temu lat czternaście... podmówili mię, i ja poszedłem głupi, a rabowałem dwory i zabijałem bez upamiętania... Hej, hej czternaście lat, a ani chwili spokojnej! Jakem wyszedł z czarniawą, to i gospodarstwo było dobre, i żona młoda i dzieci czworo... a teraz siedzę sam jak palec i proszę Boga żeby mię zabrał z tej ziemi... Zagroda się spaliła; a jak ją pobudowałem za zrabowane pieniądze, to grad w polu wybił. Poczciwe żonisko zmarło ze zgryzoty. Najmłodszy utonął w stawie, starszego zabili na wojnie, ostatni się rozpił, a będzie dwa tygodnie, strzaskało go drzewo w lesie. Zaś córka, hej niepoczciwa córka uciekła z domu za żołnierzami. I cóż dla mnie starego na tym świecie? Ha czarci mię porwą niezadługo!

I mruczał stary Walenty, a trząsł się od zimna i bojaźni, tak straszliwie mu było w walącej się chałupie.

W drugiej chacie stary Józef stał przed kominem i rozdmuchiwał ogień w szczypkach. I tu było zimno i pusto, a przecież Józefa twarz wesoła i rumiana, choć bielutkie jak śnieg włosy spadają mu na ramiona i starość go pochyliła do ziemi.

Rozdmuchiwał stary szczypki i śpiewał ładną pieśń nabożną, a wtem drzwi skrzypnęły i weszła jakaś kobieta z drwami na plecach.

— Pan Bóg z wami Józefie! Przyniosłam wam trochę drzewa, bo dziś srogie zimno. —

Stary wyciągnął ręce z radością:

— Oj Bóg że wam zapłać moja Marcinowa, że pamiętacie o starym, choć na świecie brzydko, że i psa żal wygonić. —

Marcinowa otrzepała śnieg z płótnianki, i wzięła się do zrobienia ognia na kominie.

— I cóż słychać, Józefie! O Antosiu? nie ma jakiej gadki?—

— Hej, hej nie ma moiściewy — odrzekł stary i potrząsł smutnie głową. — Mój Antoś, moje dziecko, musiało gdzieś zginąć między ludźmi.. —

— Pan Bóg łaskaw — odrzekła Marcinowa, może was jeszcze pocieszy na starość!..

A na dworze wiater świstał i trząsł sobie zbutwiałą okiennicą. Aleć za to na kominku zabłysnął już jarki ogień, a oświecił i ogrzewał starego Józefa. Marcinowa przystawiła do ognia

garnek z jadłem dla staruszka, a wnet i wyszła z chałupy Józefowej, bo czas jej było wracać już do swoich.

Staruszek siadł wedle komina, a myśli chodziły mu po głowie. Nie były one takie czarne jak u Walentego, bo Józef miał *czyste sumienie*, a za całe swoje życie nie obawiał się sądu Bożego. Aleć nieszczęściem próbuje Pan Bóg i najlepszych ludzi, więc i Józef był biednym i nieszczęśliwym w swojem życiu.

Padło nieszczęście na całą ziemię mazurską i ruską, bo ją naszedł nieprzyjaciel i zawojował. A jak który Mazur czy Rusin chciał się upomnić o wolność, to go zabijali, albo wysełali daleko na śmierć głodową. Przecież się trafiło, że ludzie zrywali się do strzelby i do kosy na nieprzyjaciela; a skoro się raz tak zerwali, to poszedł i Józef na tę wojnę; a odeszedł gospodarki, żony i dwojga dzieci.

Niepowiodło się naszym na wojnce, a nieprzyjaciel znowu wziął za łeb wszystko, i kazał robić i płacić na siebie. Stary Józef wrócił z raną w nodze do swojej wsi, i zastał w domu nieszczęście. Nieprzyjaciele spalili i zrabowali wieś; żona i córka Józefa umarły w nędzy i tęsknocie, a syn Antoni poszedł w świat daleki.

Stanęło Józefowi serce w piersiach od wielkiego bolu na taki widok straszny; a potem pochwalił Boga i jego Wolę Świętą, i został się w chacie. I był odtąd stary Józef spokojny, bo czuł, że zrobił wedle woli Bożej, i ludzkiej, bo miał *czyste sumienie*.

Ludzie czcili Józefa i pomagali staremu w czem mogli; a Walentego nikt nie odwiedzał choć był samiuteńki, i każdy bał się go, bo powiadali, że zabijał i rabował, lat temu czternaście...

Teraz siedział przy ogniu stary Józef i dumał o synu Antonim, czy też nie powróci? A stary Walenty siedział przy kominie, i przeklinał w myśli swoją córkę co uciekła z żołnierzem.

I późno w nocy położył się Józef i spał spokojnie i sny miał słodkie; a Walenty nie mógł oka zmrużyć, bo go trapiły straszliwe widziadła.

Zawitał mroźny poranek, a z porankiem i rok nowy na naszą biedną ziemię. Wiater ustał, cicho było jakby mak siał, a czysto na wysokiem niebie. Słychać było dzwonek od końca parowu, co wołał na mszę ranną do kościoła bożego.

Zerwał się Walenty z pościeli. Włosy siwe jak szopa sterczały mu na głowie; pełno w nich słomy i pierza. Duszno się zrobiło w izbie staremu grzesznikowi; poszedł do drzwi, chce otworzyć, ruszył — ale drzwi się nie ustąpiły. Pobladł Walenty ze strachu; pchnął z całej siły i drzwi usunęły się do połowy.

Wybiegł stary przed chałupę, spojrzy pod drzwi uchylone — a tu leży kobięta młoda, skośniała i bez życia, a na jej rękach maleńkie dzieciątko, biedactwo także skośniałe.

Walenty nachylił się i spojrzał lepiej.

— Córka moja! — zawołał straszliwym głosem, zacisnął pięści, zatoczył się i upadł.

Na on krzyk zbiegli się ludzie i ratowali Walentego, bo Jezus Chrystus każe być pomocnym i najgorszemu zbrodniarzowi. Nadeszedł i stary Józef, bo tędy właśnie była mu droga do kościoła.

Józef staruszek nie był już zdatnym do pomocy; więc zostawił to młodszym, a sam poszedł pomodlić się za duszę córki Walentego, i za jego zdrowie.

Prawie była msza poranna we wiejskim kościele. Ludzie schodzili się powoli przywitać rok nowy modlitwą do Boga. Józef ukląkł sobie niedaleko ołtarza i tak się starowina zatopił gorąco w modlitwie, że nic nie widział ani słyszał koło siebie. A było mu jakoś cudownie wesoło i lekko na sercu w onej chwili uroczystej.

Aż nagle uczuł Józef, że go ktoś po ramieniu nie mocno uderzył. Oglądnął się stary, patrzy, jakiś pan młody a czarno ubrany stoi przed nim i wyciąga ręce do niego. Spoglądał Józef chwilę, aż w końcu puściły mu się łzy ze starych oczów jak dwa sznurki pereł; podniósł ręce do góry: — O Boże, dzięki Tobie! — zawołał, i upadł krzyżem u stopni ołtarza. A ów pan młody upadł także krzyżem obok staruszka, i korzył się w modlitwie przed Bogiem.

Był to Antoni, syn Józefa, co przed laty kilkunastu poszedł ze spalonej chałupy szukać chleba w świecie.

Tak pan Bóg karze zbrodnię, a nagradza cnotę i czyste sumienie. Antoni, syn Józefów, dorobił się pracą i pilnością majątku wielkiego w dalekim świecie, i przyszedł wziąść ojca ze sobą, a dać mu wygody i obsłużyć go choć w późne lata. Staruszek dziękował Bogu z głębi serca za tę radość niewymowną z nowym rokiem. A skoro przejeżdżali wedle chaty nad potokiem, to stary Walenty już nie żył. Nadaremnie trzeźwili go ludzie; przyszedł na chwilkę do siebie, westchnął żałośnie i skonał.

Na trzeci dzień pochował ksiądz ojca, córkę i wnuka maleńkiego.

Wielkim jest pan Bóg i wielka sprawiedliwość Jego. Zasiał on dobrą wolę w serca ludzkie i nagradza cnoty w człowieku: a brzydzi się złem, i jest nieubłagany w swym gniewie na grzeszników i zbrodniarzy.

Bądźcie dobrego serca, uczciwi i miłujący. Cnotliwy człowiek ma miłość bliźnich i *czyste sumienie*, dwa wielkie skarby na świecie; a choć mu bieda dokuczy na tej ziemi, to Bóg go w niebiesiech stokrotnie nagrodzi.

Zbrodniarzowi i grzesznikowi ludzie nieprzychylni, i sumienie skażone jest mu nieprzyjacielem; gryzie go i męczy we dnie i w nocy. Szczęście, jeżeli go Bóg utrzyma na tej ziemi, by mógł pokutę uczynić; bo jeźli umrze w grzechu i nienawiści to go czeka śmierć wieczna i potępienie.

Gadka Kuby z Jurkiem, o wiośnie.

Nad Kubową chatą szumi stara sosna;
Pyta Kuba Jurka: — Jaka będzie wiosna?

— Zielona mój Kubo jak zawsze bywała;
Co dumać o wiośnie, pokąd zima biała!

— Jurku, słuchaj bracie byli u mnie ludzie,
Mówili o wiośnie jak o jakim cudzie;

Mówili że Bóg już zlitować się raczy,
I wszystko na świecie stanie się inaczej.

— Inaczej? ej Kubo co się tobie baje?
Chyba świat by swoje odmienił zwyczaje. —

— My naszych nie zmienim — Kuba na to rzecze:
Jeno będzie większa wolność miły człecze!
A jak nam kto zechce nadmuchać do kaszy,
To go wygonimy z polskiej Ziemi naszej.
I szeptał coś jeszcze. Jurko ścisnął pięści:
— Ej Kubo kochanku jeśli Bóg poszczęści,
To my wszystkim trutniom wygarbujem skórę,
Że im przyjdzie zmykać za dziesiątą górę.

Pożegnał się z Kubą, poszedł do komory,
I myślał o wiośnie; i ostrzył topory.

Jaśko Żuczek.

Strachy.

We wsi Porębie, mieszkali państwo, bardzo uczciwi i dobrzy ludzie. Więc też tam i czeladzi działo się jak u pana Boga za piecem. Jak parobek był chętny do pracy, to go tam nikt batem nie napędzał; ale jak też trafiło na leniwca, to i tydzień nie wysiedział w porębskim dworze. Nie kładli zaś tam pracy na człowieka, nieprzymierzając jak na bydle; każdy miał swój czas do pacierza rano, dobry odpoczynek w południe, a jak już nadszedł wieczór to się mógł wygodnie zabawić i pogadać. Juźci najwięcej było zabawy w jesienne albo zimowe długie wieczory. Było tam i wesołości i pogwarku siła, chociaż i wtedy nie radzi próżnowali dworscy ludzie.

Owóż trafiło się raz: wieczór był jesienny i słotny; w czeladnej izbie gorzał ogień na kominie, dziewczęta zasiadły do kądzieli, a parobcy pletli łyczane rogóżki. A jak to zwykle bywa, gdzie się parobcy z dziewkami zejdą, to i gwaru i śmiechu jest dużo; tak i tu dziewki dogadywały parobkom, a parobcy się odcinali, choć żadno nie zasypiało swojej roboty.

Najprzystojniejszą i najzgrabniejszą z dziewcząt była Jagusia sierota. Pani wzięła ją do dworu dziewczynką dwunastole-

tnią, bo ojciec jej poparzył się w gorzelni i w kilka dni po tym umarł, w ciężkich cierpieniach, a matka ze zgryzoty wkrótce przeniosła się za nim. Jagusia z niebieskiemi oczyma, smukła i zgrabna, najczęściej była smutna, a o łzy u niej łatwiej było, jak o uśmiech. Pani ją lubiła, bo była cicha, potulna i pracowita, a i parobcy najwięcej koło niej się uwijali; bo prócz przystojności, nęciła ich jeszcze obietnica poczciwej pani, że Jagusi sieroty nie wyda za mąż bez wiana. Jagusia nie wiele zważała na te ich zaloty, bo kończyła zaledwie rok ośmnasty; a jednak kiedy jeden z nich *ladajakim Kubusiem* od innych zwany, psotnik i zawadyjak, do niej przemówił, to nie odwracała od niego główki, a nieraz się i uśmiechnęła za dobre słowo. Kubusiowi także ona nieraz była na myśli; ale jak mu przyszło wyrządzić jaką psotę, to i zaraz o wszystkiem zapomniał.

Z rozmowy przyszło nareszcie do strachów, bo jakże o nich nie wspomnieć w długi jesienny wieczór? Stara Katarzyna kucharka opowiadała, jak u nieboszczki jej kumy Piotrowej siedział djabeł na strychu, a ona mu codzień nosiła kaszę jaglaną bez soli.

— To się djabeł musiał dopiero upaść — wtrącił któryś z parobków.

— Niby nasz Kubuś, któremu kaszy nie nastarcz.

— Rychtyk taki jak on — ciągnęła dalej kucharka — bo jemu tylko rogi przypraw, tak istny z niego djabeł. Ale tamten u nieboszczki kumy kaszy nie jadł darmo; w całej wsi krowy nie dawały mleka, wszędzie len i konopie przepadły, a u niej jak las; u kogo na przednowku była bieda, u niej zawsze chleb rumiany w piecu się dopiekał. Wszyscy się strasznie temu dziwowali, a jak raz parobek Jacek chciał obaczyć tego djabła i wsadził łeb na górę, djabeł jak go uciął w pysk, to aż sześć niedziel chodził spuchnięty.

— Ba, żebyć to tyle było!... ale widzicie, jak się tej Piotrowej djabeł sprzykrzył, to w nieckach pod podwijką wyniosła go na gościniec pod most, i posadziła go tam, aby ludziom psoty wyrabiał.

— A zbytna to besyja — odezwał się parobek. — Ja łońskiego roku jechałem z Żółkiewki i w Ganach w karczmie spotkałem

się z Matysiakiem. Zabawiliśmy się trochę, i już dobrze było w noc, jak wjechałem w las. Jadę koło mostu, patrzę, aż coś leży na drodze; słucham a to beczy. O daj go katu, pomyślałem: ktoś jechał i zgubił barana. Sciągnąłem lejce, konie stanęły, a ja dalej z wozu po znalezione. Patrzę, istny baran, a taki wielki jak źrebiec; ruszam żeby wstał, ale gdzietam!.. nogi ma związane. Biorę się do niego; hej ciężka bestya ... ani ruszyć. Wyjąłem deskę z wozu, oparłem jeden koniec na wozie, a drugi na ziemi, i jak się przysadziłem tęgo, tak wpakowałem go przecie na wóz. Prawda, że mię coś w krzyżach zabolało, ale gdzietam człowiek o tem myślał, kiedy mu przed oczyma stał Icek pachciarz, jak targuje barana i płaci za niego trzy reńskie. Świsnąłem na konie i jadę; ujechałem może z dziesięć staj, patrzę, a mego barana nie ma; zleciał z wozu. Zakląłem na djabła i wróciłem. Koło mostu jest moja zguba, nuż ja dzwigać znowu; a ze złości jak go porwałem, to i bez deski wpakowałem na wóz. Poczekaj bestyjo, pomyślałem sobie, przywiążę cię do kłonic, już mi nie zlecisz. Jadę znowu, przyśpiewując sobie, i dojechałem aż do Maćkowej miedzy; oglądam się, nie ma barana. Strach mnie wziął; ale że człowiek miał trochę w głowie, a na myśli trzy reńskie, to i o strachu zapomniał. Wracam, baran znowu leży w tem samem miejscu; dźwigam, aż mi oczy wyłażą, i znowu baran na wozie. Wziąłem go powrozem za kark i za nogi przywiązałem do wozu; ha! już mi teraz nie zlecisz!.. i pojechałem dalej. Przyjeżdżam do tej figury, co stoi wedle jeziorka, czapka z głowy i przeżegnałem się; słyszę, aż tu za mną hi! hi! hi! coś się roześmiało — patrzę, a barana nie ma. Włosy mi na głowie stanęły, iskry zaświeciły w oczach i nie wiem, co się dalej stało, dość, że konie z wozem znaleźli ludzie nazajutrz aż pod lasem, a ja leżałem w błocie koło jeziorka prawie bez duszy. Niech go źli porwą tego barana; dziesięć niedziel przechorowałem, a tak ciężko, że już człek i na śmierć się spowiadał.

— Dobrze wam tak, po co było łakomić się na nieswoje.

— Jużcić to chyba było nawiedzenie Boże; i teraz żebym

panie wór złota znalazł, to anibym pomyślał ukradkiem go schować.

— Ej gadki—odezwał się Kubuś ladajaki — albo to baran był?... wyście tylko *bez* wódkę widzieli barana. Ot ja, to potrzeźwemu widziałem stracha.

— Gdzie, gdzie? powtórzyło kilka głosów.

— Gdzie? koło lamusa — bąknął Kubuś, i znów umilkł, spuściwszy oczy na rogóżkę.

Lamus był zaraz za dworem i mieścił w sobie skład nie tylko nabiału, ale i przeróżnych marynat, wódek, win, miodu i innych rzeczy, a pani nieraz, zwłaszcza gdy byli goście, wysyłała jedną z dziewcząt po rozmaite potrzeby do stołu. Najczęściej Jadwisia chodziła do lamusa, i ona też najpierwsza obróciła oczy na Kubusia; ale on nie podniósł swoich, tylko jak-by naumyślnie plótł zawzięcie rogóżkę.

— Cóż to był za strach? — zapytali wszyscy.

— Ot już radzibyście wiedzieć, żeby potem rozpleść po całej wsi.

— Podnieśno łeb i gadaj, coś widział — odezwała się kucharka, najciekawsza ze wszystkich.

— Ha, kiedy już wam tak się żąda, to powiem; tylko na miły Bóg nie gadajcie ani panu ani ekonomowi, bo pewnikiem oberwałbym za uszy. Wczoraj po wieczerzy poleciałem na wieś do Stacha; wracam, już się w kuchni nie świeciło, a wiater wygwizdywał, kieby Franek na fujarze. Idę koło lamusa, a tu coś zaszumiało; oglądam się, jakieś czarne, wielkie psisko hyc przez furtkę i do lamusa. Ani chybi, bryś, pomyślałem sobie; szkodna bestyja, chce się dobrać do saganów... i poszedłem za nim. Patrzajcież, ledwie skoczyłem ze dwóch schodów, a tu bestyja jak nie roztworzy pysk, jak nie bryźnie na mnie iskrami! O! Święty Boże, nogi się podemną zatrzęsły; jak drapnę na górę, to nie oparłem się aż w stajni. Żebyście wiedzieli, to już kury piały, a ja jeszcze dzwoniłem zębami i mówiłem pacierz, bo to jakieś złe mnie nagabało.

— — Ty nieponiu, pewnie ze strachem łyknąłeś ze trzy półkwaterki, i tak ci się w ślipiach iskrzyło!

— Gadajcie sobie zdrowi; ja i niucha tabaki nie widziałem, a dopieroż półkwaterka.

— To zmyślasz ladaco, żeby nas straszyć — odezwała się jedna z dziewek.

— Miałbym kogo straszyć aż ciebie, kiedy ciebie toby się i sam djabeł przestraszył — odrzekł Kubuś.

Wszyscy się zaśmieli, jedna tylko Jadwisia poglądała na mówiącego ze strachem.

Nie wiedziała nieboga, czy Kubaś łże, czy prawdę mówi, bo on, hultaj takie robił oczy, jak żeby to wszystko święta prawda była. Chciała się go jeszcze wypytać o onego stracha, aleć kucharka zastawiła wieczerzę, każdy się rzucił jeść, a po wieczerzy, poszedł każdy w swoją stronę wywrócić się i zasnąć.

Po kilku dniach, w taki sam wieczór słotny i wietrzny, do pani zajechali goście. Krzątaniny było dosyć do późnej nocy, i już parobcy zabierali się do stajen, gdy pani zawołała Jadwisię, dała jej klucze, i kazała co prędzej skoczyć do lamusa, i przynieść butelkę starego miodu z trzema pieczątkami. Pani tak kazała się spieszyć, aby goście od stołu nie wstali, że dziewczęciu wyszedł zupełnie z głowy strach pokutujący w lamusie; jakoż zapaliwszy świecę w latarce, wybiegła z kuchni.

A owóż za chwilę ozwał się krzyk przeraźliwy i bolesny od strony lamusa. Wybiegli wszyscy i znaleźli Jagusię leżącą bez zmysłów na schodach, z potłuczoną na drobne kawałki latarką. Nikogo więcej nie było, a jednak gdy przynieśli światło, znaleźli przed lamusem kilka rozżarzonych węgli i płachtę, którą nie wiedzieć na co z kuchni zabrał Kubuś. Biedną dziewczynę zaniesiono do izby, zlano wodą i nareszcie docucono się — ale cóż z tego, kiedy zaraz nazajutrz pokazały się ślady gwałtownej gorączki. Sprowadzony lekarz nie wiele robił nadziei. Jagusia konała powoli, a łotr Kubuś nie chciał się przyznać do winy, choć wszelkie poszlaki naprowadzały na ślad, że to jego była sprawka. Spokojny jak zawsze, na wszystko miał gotową wymówkę, a choć ekonom przekonany sumiennie o jego winie, kazał mu wyliczyć szesnaście kijów, to i tak nie przyznał się do występku.

Tymczasem życie sieroty gasło z każdą chwilą; na go-

dzinę przed zgonem odzyskała przytomność, pożegnała czule swoją dobrą panią, która o niej prawdziwie macierzyńskie miała staranie, a kiedy jej wspomniono, że to pewno Kubuś przez psotę postraszył ją, nic nie odpowiedziała, tylko dwie łzy potoczyły jej się po wybladłej twarzy.

Na drugi dzień po pogrzebie Jagusi, łotra Kubusia wypędzono ze dworu. Nie okazał on żadnego żalu po sierocie, nawet gdy trumnę wynoszono i kładziono na wóz, to on bronując pod samym dworem ogród po wykopanych kartoflach, gwizdał jakąś piosneczkę. Wszyscy na niego wymyślali, nazywali zabójcą, a on wszystko zbywał pół na prawdę, pół żartem i i był spokojny do ostatka.

W kilka lat po tem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem, przyjechałem na odpust do Leżajska, i rozgościwszy się w lasku pod drzewem, wybrałem się do kościoła.

Idąc podwórzem do zakrystyi, minąłem wielu dziadów siedzących rzędami, bo zwrócił moją uwagę kaleka bez nóg i z krzywemi rękami. Suwał się on po ziemi w drewnianych korytkach, a na krzywe ręce obuwał dwa drewniane sandały. Twarz jego pomimo młodych rysów nosiła ciężkie ślady boleści.

— Choć groszyk panie, biednemu kalece — przemówił do mnie, nadstawiając sandała.

— Jak ty się zowiesz?

— Jakób Łozek.

— Chryste panie toż ciebie nazywano *Kubuś ladajaki?*

— A tak, zkąd to pan wie?

— Bo cię znam, ty byłeś parobkiem w Porębie.

— A tak panie.

— Cóż u licha, byłeś zdrów i tęgi.

— A teraz kaleka i cherlak.

— Cóż ci się stało?

— Ot psie figle.

— Jakto?

— A tak panie: ze dworu mnie wypędzili, poszedłem do

sołtysa; wpodle były dziewuchy, a mnie zawsze we łbie świtało. Zrobiłem sobie szczudła, okręcałem się płachtą i straszyłem. Jak raz narobiłem rejwachu, wyleciał sam gospodarz i nuż gnać mnie z kijem; uciekając na szczudłach i w płachcie, wpadłem w kartoflany dół i złamałem obiedwie nogi, jeszcze jak powiadali w dwóch miejscach, a ręce powykręcałem. Zawieźli mnie do szpitalu i tam doktor kazał mi uciąć nogi, a ręce prostował i nie wyprostował. Potem chorowałem ciężko przez dwa lata i... nie umarłem.

Te ostatnie słowa wymówił z wielką boleścią. Zdziwiłem ja się mocno na to opowiadanie Kubasiowe i rzekłem:

— Nie umarłeś, bo Bóg zostawił czas, abyś odpokutował za śmierć Jadwisi sieroty, abyś przebłagał gniew Boski. Wycierpiałeś wiele, zostałeś kaleką, nędzarzem; ale dziękuj za to Bogu, bo jeszcze szczerym żalem ocalić możesz duszę.

Łzy sznurkiem popłynęły po żółtej twarzy Kubusia, kaleki. Dałem mu parę groszy, a on w milczeniu obrócił oczy ku kościołowi.

— Żeby mi Bóg dobry chciał przebaczyć, tę srogą przewinę! — ozwał się wreszcie nieszczęśliwy Kuba, i zapłakał znowu.

Mnie się także łzy zakręciły w oczach. Kuba otarł twarz rękawem i mówił dalej:

— Że też mnie to nikt nie złapał, a nie wygrzmocił dobrze, skorom tylko zaczął udawać stracha; zabiłem niewinną dziewczynę i teraz mi sumienie spać spokojnie nie daje, a to jest dopiero strach dla duszy człowieka. Głupie ludziska boją się lada czego; a strachami to są złe myśli i złe uczynki, wódka, nieporządne życie i inne pokusy złego ducha. Oj, czemuż ja biedny nie wiedziałem pierwej o tem, dopiero teraz kiedy się na kolanach suwać muszę!

— Takto, dopiero nieszczęście uczy rozumu człowieka, choćby i tak do rozumu przyszedł, żeby jeno chciał! — pomyślałem ja sobie, i poszedłem do kościoła pomodlić się za duszę Jadwisi, żeby połamanemu Kubusiowi ulżeć na sumieniu.

Nie widziałem już Kuby potem, ale mi ludzie powiadali, że włóczył się jeszcze kilka lat tak na czworakach, połamany, i umarł wreszcie spokojnie.

Znać odpokutował swoją winę już na tej ziemi.

(*Cz. N.*)

Szkoła.

W każdem mieście i w wielu wsiach jest szkoła, gdzie Nauczyciel uczy dzieci Religji, czytać, pisać, rachować i różnych wiadomości. Oto dobrodziejstwo wielkie dla was Rodziców wszystkich. Nauczyciele poświęcili się dla dzieci waszych, aby je wykształcić na ludzi bogobojnych, umiejętnych, poczciwych i pracowitych. I oni się długo uczyli, aby potem mogli uczyć dzieci wasze; bo nic nie ma bez nauki. Oni zastępują Rodziców, bo wy sami ani czasu nie macie do uczenia dzieci swoich, ani też nie umiecie tyle, abyście je mogli czego porządnie wyuczyć. Dla tego szacunek winniście Nauczycielom swoim, że oni was zastępują, i że oto się starają, aby dzieci wasze wyszły na ludzi. A co więcej, dopomagać im w tem powinniście, a to przez regularne posyłanie dzieci do szkoły. Lecz gdzie tam? Rodzice niejedni zamiast widzieć w szkole szczęście dla swych dzieci, uważają ją za największy ciężar, i wyszukują różne powody, aby tylko dzieci od szkoły uwolnić. Latem dzieci nie mają czasu, bo robota jest w polu i ogrodzie; a któżby pasł trzodę, bydło i gęsi? W zimie nie podobna posyłać, bo mróz, i śnieg zawieje. — A więc powiedzcie po prostu, że nie macie wcale ochoty, aby się dzieci czego wyuczyły, że jesteście przeszkodą ich szczęściu prawdziwemu, że jesteście nieprzyjaciołmi największymi własnych swoich dzieci. Dla tego też słusznie powiedział jeden Mędrzec: wolałbym być gęsią u takich Rodziców, jak ich własnem dzieckiem. — A i w mieście nie lepiej. I tam tysiąc wymówek, aby tylko dzieci nie posyłać do szkoły; i tam nie jednemu szkoła jest ciężarem.

Przy takiej obojętności waszej na przyszłość dzieci, przy

takiem zaślepieniu, czy się mogą dzieci czego nauczyć? Żeby Nauczyciel był tak mądry, jak sam Salomon, to dzieci waszych niczego nie nauczy, jeżeli sami nie będziecie posyłali ich regularnie do szkoły, i jeżeli w domu ich sami do nauki nie napędzicie. Dla tego dzieci takie nic nie umieją. A wy zaraz macie sto skarg na ustach na Nauczyciela, że dzieci tyle a tyle lat chodzą do szkoły, a niczego się nie nauczyły. Policzcie tylko te dni, gdzie dzieci były w szkole, a sami się przekonacie, że nie wiele miesięcy naliczycie. A przytem uważcie że łatwiej zapomnieć, niż się nauczyć; że dziecko, które chodzi nieraz przez cały rok do szkoły, a potem pozostanie przez kilka tygodni w domu, to przez te kilka tygodni zapomniało wszystko, czego się przez cały rok w szkole nauczyło. I naucz tu czego biedny Nauczycielu? Nie skarzcie się przeto na Nauczyciela, tylko oskarzajcie siebie samych, że nie dbacie o dzieci swoje, czy one zdziczeją, czy się czego nauczą. — Ale powiesz: któż mi pomoże w polu? któż mi będzie poganiał i pasł? Bratku! a gdyby ci Pan Bóg wcale dzieci nie dał, a któżby ci wtenczas poganiał i pasł? I wtenczas dałbyś sobie radę.

A więc i dzisiaj bez nich daj sobie radę, bo dzieci twoje podczas szkoły nie do ciebie należą, ale do szkoły. I ciężki za nie Panu Bogu oddasz rachunek, jeżeli je zaniedbasz. A one same przeklinać cię później będą, żeś ich niczego nie nauczył, ale już za późno. Młodość to czas nauki; a nie zazdrość dzieciom swoim tego szczęścia, że mają sposobność do nauki.

Posyłajcie przeto odtąd regularnie dzieci do szkoły; godzina stracona, wiele stracone; przypilnujcie je, aby w domu się uczyły; to aż miło wam będzie na sercu jak dzieci wasze wyuczone czytać wam będą w Święta różne książki, które dostaną do czytania od Księdza lub nauczyciela, i jak rosnąć będą Bogu na chwałę, krajowi na pożytek, a wam Rodzicom na chlubę. Wtenczas serce wam się rozraduje, a usta mimowolnie wyrzekną: ach to moje dzieci!

RÓŻNOŚCI.

Szkółka Niedzielna. W jednej części naszej dawnej Polski, co się zowie teraz wielkiem księstwem Poznańskiem i jest pod Prusakiem, zaczęli teraz dobrzy ludzie wydawać jedno pismo czyli *gazetę*, co się zowie *Szkółka Niedzielna.*

Wychodziło to pismo już dawniej; aleć będzie temu lat siedm przerwało się, i teraz dopiero zaczęli go na świeżo drukować. Jest tam siła pięknych i ciekawych rzeczy: O Świętych Pańskich; o tem jak sobie zawsze dobrzy katolicy, postępować powinni, aby na żywot wieczny zasłużyć; o gospodarstwie polowem a domowem i rady na różne wypadki, i wiele innych rzeczy; a tak ci to wszystko gładko, i ślicznie wypisane, jak gdyby ksiądz z ambony mówił. Na pokaz wypisałem wam to z tego pisemka *o Szkole,* co przed Różnościami stoi.

Jeżeli kto ma z czego, a i czasu mu starczy do czytania, to niechże sobie tę *Szkółkę Niedzielną* na poczcie zapisze. Nie siła to kosztuje, podobnoś i mniej jak nasz *Dzwonek,* a jest raz na tydzień pół arkusza do czytania. Uczciwej pracy trzeba zawsze pomagać; jeżeli już nie inaczej, to choć dobrym słowem — więc i wy, jak sobie już który *Szkółki* zapisać nie może, to niech jej choć razem znami życzy szczęścia i pomocy Boskiej na uczciwej drodze.

Dziwna książka do nabożeństwa. — Niewiasta nieumiejąca czytać, nosiła zawsze ze sobą książkę do nabożeństwa do Kościoła, i na niej się modląc, zawsze gorzko płakała. Dziwili się temu ludzie, bo wiedzieli, że czytać nie umie. A gdy ją proszono, aby tę książkę pokazała, odrzekła: ja na waszych książkach czytać nie umiem, ale i wy na mojej czytać nie umiecie. A gdy książkę swą otworzyła, ujrzeli wszyscy w niej tylko cztery karty: białą, czerwoną, czarną i złotą. Dziwiono się temu, a ona pobożna niewiasta tę rzecz tak tłumaczyła: Na tej białej karcie czytam świętość życia Pana Jezusa, niewinność i czystość Najśw. Maryi Panny i świętych Pańskich. Czytam też tu i czystość moją, którą wzięłam na Chrzcie; a żem tę czystość oszpeciła grzechami wielkiemi, dla tego płaczę. — Na czerwonej karcie czytam najokropniejsze męki Pana Jezusa, które podjął dla mnie nędznej: czytam i krew Jego przelaną na drzewie krzyża Ś. aż do ostatniej kropelki, a to wszystko dla zbawienia mego; czytam i krew przelaną tylu Męczenników za tę wiarę w Chrystusa; a bojąc się, żeby ta krew Chrystusa nie była dla mnie daremnie przelana, płaczę. — Ta trzecia karta jest czarna. Tu czytam ciemności i męki piekielne wszystkich potępionych. Oj tu płaczę gorzko, i błagam Boga, aby się nademną ulitował, dodał mi łez obfitych, bym mogła me grzechy dostatecznie opłakać, i mnie od kar wiecznych zachować raczył. — Na tej ostatniej karcie złotej czytam radość i wesele Niebian, wszystkich

Świętych Wybranych Pańskich, i z płaczem wzdycham do nich, aby się za mną do Boga przyczynili, bym i ja tego szczęścia po krótkich dniach mego żywota dostąpić mogła. —

Pożar. Dnia 28. Grudnia, co przeszedł, paliło się w *Nienadowej* pod Przemyślem. Zgorzała stajnia dworska, a ogień był taki nagły i gwałtowny, że dwaj parobcy Marcin i Paweł co właśnie tam byli, zginęli także w płomieniach. Straszna to rzecz: bo dwoje ludzi, to więcej znaczy niż największe majątki; aleć mówią, że to najwięcej obaj ci parobcy byli winni. Jakto zwykle przy Niedzieli bywa, musieli sobie trochę w karczmie pozwolić, i zapuścili ogień do stajni. Ukarała ich srogo własna nieostrożność, nie licząc już szkody, z jaką ten płomień był dla dworu. Różnego bydła zginęło przytem przeszło stopięć - dziesiąt sztuk; samych krów pięćdziesiąt i dwie! Zgoła cała ta szkoda wypada na piętnaście tysięcy reńskich; ogromna suma! –

Ledwie nie co dzień zrzędzą ludzie na nieostrożność z ogniem, a przecież jeszcze dzieją się takie straszne nieszczęścia. Kiedyż to gospodarze i parobcy przestaniecie chodzić z fajkami i światłem po stajniach i stodołach? Fajkę odłożyć na chwilę, toć to nie tak trudno, a latarka tysięcy nie kosztuje! Kto z ogniem nie ostrożny, to iście jak żeby sobie nóż do garła przykładał. Gospodarz siebie łatwo zniszczyć może, a parobek zrobić szkodę gospodarzowi i sam się zabić — jak się to owo właśnie w Nienadowej stało.

Jak dawniej robiono wozy. Dawniej nasi Praojcowie Polacy nie tak robili wozy, jak to zwykle dzisiaj robią: cały wóz z jednego gatunku drzewa. Lecz dobierali drzewa stósownego na każdą część i cząstkę, aby wóz lekko chodził, był mocny i trwały.

Na samo koło potrzebowali kilka gatunków drzewa. I tak dzwona robiono z jaworu, piasty z brzeziny, a szprychy z jesionu. Na osie brano dębinę, a dyszle były bukowe. Łozy najstósowniejsze na półkoszki, a na drabie leszczyna.

Dzisiaj choćbyśmy nawet chcieli naśladować w tem naszych przodków, to nieraz niepodobna; bo i drzewa takiego już nie ma w niejednej okolicy. — Dawniej nawet wideł nie robiono z innego drzewa, jak tylko z grabiu, a cepy tylko z jabłoni. Drzewo sosnowe brano tylko na żłoby i koryta. Tak starannie gospodarowali nasi przodkowie, i dla tego mieli wszystkiego podostatkiem. A kto przeto utrzymuje, że dawniej nie znano się u nas na gospodarstwie, ten widać, że nic nie zna, i że mu pstro w głowie. Boże daj, żebyśmy dzisiaj tyle umieli i tak pracowali, i tak byli rzędnymi, jak nasi przodkowie, którzy z tej swojej pracy nie szczędzili ani Bogu, ani bliźniemu, ani sobie, a jednak w wszystko obfitowali, bo im Bóg błogosławił.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**